WSPÓLNOTA DĄŻEŃ

1 LIPIEC 1939 NR 4

WRESZCIE POSTANOWIŁEŚ DOKĄD JECHAĆ NA WYPOCZYNEK!! WIĘC JEDŹ!!

»WSPÓLNOTA DĄŻEŃ«

CZASOPISMO SPOŁECZNE PRACOWNIKÓW WSPÓLNOTY INTERESÓW S. A.

1 LIPCA 1939 NR 4

Do naszych Czytelników

Na wstępie zawiadamiamy Czytelników, że nazwa — „Wspólnota Dążeń“ — zostanie na zawsze nazwą naszego czasopisma.

Piękna ta i w swoim ujęciu głęboka nazwa jest pomysłem p. red. Stanisława Studnickiego i na tym miejscu składamy Mu za nią, jako ojcu chrzestnemu gorące słowa podzięki.

* * *

Jak wszyscy zauważyli — numer czwarty „Wspólnoty Dążeń“ przybrał nieco odmienną szatę zewnętrzną i sądzimy, że zrobiliśmy dobrze zamieszczając nieco większą ilość ilustracyj, które są zawsze interesującą cząstką każdego czasopisma. Zresztą nie wątpimy, że Czytelnicy podzielą się z naszą redakcją swoim sądem i zechcą łaskawie napisać — co i jak się podobało w numerze niniejszym.

Dziękując tym wszystkim, którzy zajęli tak bardzo życzliwe stanowisko w stosunku do naszego młodego pisma stwierdzamy, że nakład jego nie wynosi jeszcze pełnej liczby egzemplarzy tzn. 35.000, równej ilości pracowników we Wspólnocie Interesów i dziwić się należy dlaczego ta reszta ociąga się z prenumeratą tym więcej, że 20 groszy na miesiąc nie jest wydatkiem, o którym trzeba pisać lub dyskutować — a dodać należy, że niewiele jest w Polsce koncernów, które posiadają własne czasopismo tego rodzaju jak nasz dwutygodnik.

Toteż zwracamy się do tych, którzy są już abonentami, aby zechcieli zainteresować swych znajomych i przyjaciół naszym własnym wydawnictwem i wierzymy, że akcja naszych sympatyków odniesie pożądany skutek wyrażający się podniesieniem nakładu — do pełnej cyfry 35.000.

* * *

Otwieramy dla Czytelników nowy dział na stronicach „Wspólnoty Dążeń“. Działowi temu dajemy tytuł: „Moje wspomnienia“.

Wiemy o tym dobrze, że spośród pracowników naszych wszystkich kategorii wielu jest takich, co przez lata swego życia przeszli mnóstwo przeżyć wesołych i smutnych. Starsi mają tych przeżyć więcej — młodsi mniej, ale znajdą się między tymi przeżyciami takie, które mogą być bardzo interesujące. A mogą to być przygody z wojny i służby frontowej, z czasów powstań śląskich, ze znojnych dni pracy zawodowej, z wycieczek turystycznych itp. Poddajemy tych kilka rodzajów, ale wiemy, że Czytelnicy wynajdą ich znacznie więcej. I niechże każdy kto w słowie swe myśli i wypadki wyrazić umie, coś ciekawego wybierze — i napisze. Jeśli do tej opowieści — byle prawdziwej — może dołączyć odpowiednie zdjęcie fotograficzne lub własny rysunek czy karykaturkę — prosimy! A jeśli ktoś boi się pisać lub też na siłach się nie czuje — niech przyjdzie do redakcji, opowie — a my mu napiszemy. I tak wspólnie wypełnimy piękny dział naszego dwutygodnika. W szóstym numerze rezerwujemy już miejsce na pierwszą opowieść! Prosimy pisać, krótko, zwięźle i jasno. Jeśli trzeba powtórzyć jakąś rozmowę, ważną w opowiadaniu — należy ją szkicowo powtórzyć. Gdyby coś było niezwykle ciekawe a nie dało się zmieścić na dwóch stronicach dwutygodnika — chętnie przeniesiemy resztę na numer następny.

A więc — jazda! Zaczynać!

Tylko — na Boga — nie piszcie o duchach, bo — po co mamy się bać!

* * *

Termin nadsyłania opowiadań — najmniej 12 dni przed datą ukazywania się „Wspólnoty Dążeń“ tzn. przed 1-szym i 15-tym dniem każdego miesiąca.

Adres: Redakcja „Wspólnoty Dążeń“ — Katowice, Kościuszki 30 — Gmach Zarządu Centr. Wspólnoty Interesów.

REDAKCJA

»KAMIEN W URYCZU«

FRAGMENT WSTĘPNY Z POWIEŚCI HISTORYCZNEJ Z. KACZKOWSKIEGO P. T.: »OLBRACHTOWI RYCERZE«

„Pomiędzy rzekami Stryjem a Dniestrem, w kraju dziś sławnym nieprzebranymi bogactwy olejów skalnych, o trzy mile na przestrzał od staro-ruskiego miasta Drohobycza, a o sześć mil od szczytu Bieszczadów, w dolinie zaklęsłej a rozramienionej pomiędzy grzbietami gór, sterczą szeroko porozrzucane olbrzymie skaliska, które od wieków są dziwowiskiem podróżnych, a zarazem siedzibą potwornych podań ludowych.

Skaliska te, znane powszechnie pod nazwiskiem „Kamienia w Uryczu“, dzielą się na dwie odrębne gromady, nie zdradzając na pozór żadnego związku ze sobą.

Jedna z nich, leżąca po drugiej stronie doliny, składa się też w istocie z kilkudziesięciu większych i mniejszych kamiennych brył, poprzerastanych czarnym jodłowym lasem, leszczyną i jałowcami; było ich przed wiekami zapewne więcej, ale z czasem przykryły je ziemia, mchy i dzikie krzewiny. W tej gromadzie widać nieład natury, jakoby pobojowisko po jakiejś gwałtownej rewolucji żywiołów: ręka ludzka nie zostawiła tam żadnego śladu po sobie.

Natomiast druga gromada, więcej skupiona, a sterczącą ze stoku góry nad bezdenną przepaścią od północnego wschodu, uderza na pierwszy rzut oka widokiem jakby ruin ogromnego i bardzo starożytnego zamczyska.

Skalisty ten potwór, piętrzący się w chmury swymi pozostałymi basztami, a z jednej strony jakby nad samą paszczą piekielną zwieszony, w którejkolwiek dnia dobie widziany, przejmuje podziwem i grozą. Tu bowiem, obok olbrzymich tworów natury, pnących się w niebo z zuchwalstwem niczym nieokiełznanych żywiołów, a zarazem głęboko wbitych w wnętrzności ziemi, widoczne są ślady, że tutaj niegdyś mieszkali ludzie.

Dość rzucić okiem na te skaliska, ażeby dostrzec, że kiedyś, zapewne jeszcze w wiekach zamierzchłych, człowiek opanował tę w puszczach leśnych zatopioną dzikich zwierząt siedzibę i pracą wielu lat i wielu tysięcy rąk ludzkich zamienił w zamek obronny. Albowiem na najwyższych szczytach tych skał widać izby, wewnątrz wykute, i wschody, do nich wiodące, a opatrzone kamiennymi gankami; gdzie indziej zaś wyglądają spod mchów i krzewin sążniste mury z cegły i wapna, które z wiekami także zlały się w kamień.

Z tych skał ogromnych, które się zwycięsko oparły zniszczeniu wieków, a wyglądają, jak





baszty lub wieże w gruz zapadłego zamczyska, dzisiaj jeszcze pozostały cztery. Dwie mniejsze, sterczące od północy w odległości kilkunastu stóp jedna od drugiej, stały widocznie swojego czasu na straży głównego wjazdu i obejmowały pomiędzy sobą bramę zamkową. Pomiędzy nie wchodzi się w obszerny dziedziniec, dziś trawą i chwastem zarosły, lecz bez wątpienia naturalną i jednolitą płytą kamienną nakryty. Pod dziedzińcem musi być próżnia, zapewne ludzkimi rękami wykuta, nawet prawdopodobnie do dalszych prowadząca podziemi, bo za uderzeniem w posadzkę głuche odzywa się echo, powtarza się kilkakrotnie w oddali i dopiero po chwili ucicha. W jednym rogu dziedzińca jest studnia, w skale wykuta, dziś zasypana gruzami. Po lewej ręce ciągnie się mur skalisty, którego posady wszakże dojrzeć nie można, zwiesza się bowiem nad bezdenną przepaścią, która tak jest głęboką, że rosnące po jej brzegach wiekowe jodły szczytami swymi zaledwie dosięgają poziomu dziedzińca. Przepaści tej, na której dnie leżą trupy drzew przedwiekowych i olbrzymie kawały skał, a na nich znowu pnie zmurszałych jodeł, jeszcze nigdy promień słońca nie przedarł i nigdy stopa ludzka nie dotknęła. Nad nią, w rogu dziedzińca, wznosi się najwyższa baszta zamkowa.

Jest to wieża skalista, mierząca sto kilkadziesiąt stóp wysokości, rozdwojona u szczytu i piętrząca się dwiema iglicami ku niebu. O kilkanaście stóp poniżej iglic znajduje się izba, w skale wykuta, opatrzona resztkami krużganku. Z tego krużganku, na który jeszcze niedawno wejść było można po kamiennych, chociaż już bardzo oślizganych progach, również w skale wykutych, przepyszny nawet gołemu oku przedstawiał się widok. Obejmował on bowiem kilkadziesiąt mil kraju, bogatego, jak róg obfitości, we wszystkie dary natury, płynącego od wieków mlekiem i miodem, a przerżniętego srebrnymi wstęgami Tyśmienicy i Stryja, Świcy i Dniestru i wielu innych rzek mniejszych, wijących się między tłustymi łąkami i cienistymi dąbrowy. Po prawej ręce widziałeś miasto Stryj, śpiące spokojnie na rozległej dolinie; przed tobą roił się handlowy gród starej Rusi, Drohobycz, cokolwiek dalej na lewo gubił się w sinawej mgle Sambor, ze wspaniałymi wieżami swoich kościołów i cerkwi, z białymi, jak śnieg, ulicami, otoczony dokoła pysznymi sadami drzew owocowych i złotymi łanami pszenicy, a siedzący na brzegu uciekającej przed twoim okiem równiny, która jest niby pierwszym kobiercem stepów podolskich, ścielącym się pod nogi apostołom ludzkości i oświaty, przybywającym z zachodu...

Czwarta na koniec baszta, cokolwiek niższa od poprzedzającej, a stojąca w rogu zachodnim dziedzińca, lecz także niegdyś mieszkalna, dzisiaj zaś w różnych miejscach poprzerywana u szczytu, w dziwnych przedstawia się kształtach, które zdają się być jakoby ruchome i w wyobraźni przybierają rysunek ludzkich postaci.

Tak z jednej strony, gdzie skała chyli się ku wschodowi, widzisz jakoby stojącego na jej szczycie rycerza, który na hełm i zbroję kaptur mnisi zarzucił, i stoi tak nad przepaścią, jak gdyby się w nią chciał rzucić, a przed śmiercią ostatnim dumnym spojrzeniem grozi pogardzonemu przez siebie światu. Z drugiej strony, gdzie skała się zwiesza ku dziedzińcowi, widzisz jakoby dziewicę z załamanymi z rozpaczy rękami, która chciałaby z miejsca się ruszyć i zstąpić w dziedziniec — a nie może, bo jest skamieniałą.

Kiedy warstwa mgły białej położy się na tych ruinach, co się często zdarza w tych górach, tak, że tylko wierzchołki tych skał nad nią się wznoszą i zdają się wisieć w powietrzu, wtedy postacie te rysują się daleko wyraźniej, natenczas i dumnie w przepaść spoglądającego rycerza, i skamieniałą w swym ruchu dziewicę, widać jakoby żywe — i jest to widowisko wspaniałe i groźne, przy którym oczy twoje się otwierają szeroko i oddech zapiera się w piersi. Widok ten wszakże staje się strasznym i przejmującym wśród jasnej nocy; natenczas bowiem postacie te malują się czarno na niebios błękicie, duch w nie wstępuje, zdają się ruszać na swoich kamiennych podstawach — a kiedy wyobraźnia usiłuje przeczuwać ich myśli i czyny z tych czasów, kiedy żyły na ziemi, w piwnicach zamku głuche odzywają się echa, w głębiach zaś tej przepaści, gdzie stare pnie leżą przysypane drzazgami skał, słychać szumy i jęki przytłumione, niknące w dali, ale tak przeraźliwe i takie nieziemskie, że, ktokolwiek je słyszał, uczuł drżenie w głębi swej duszy i uwierzył powieści ludowej, że tam mieszkają duchy pokutujące. Toż jeszcze nikt tam nocy nie przespał w tych strasznych ruinach, a kto przypadkiem po zmroku się zabłąka, żegna się krzyżem świętym, popędza konie i mija je jak najprędzej...“



NASZ REPORTER

SŁOŃCE PODOLA

Zaleszczyki, 21. VI. 1939.

Nie mogłem wyjechać razem z naszymi „Podolakami" więc dopędzam ich w Zaleszczykach, aby choć jeden dzień posmakować jak się im wiedzie.

Przybywam 7.45 rano i okazuje się, że jestem wcześniej niż oni. Za 20 minut — z małym opóźnieniem sunie się nasz pociąg wycieczkowy i za chwilę jak z worka wysypuje się nasza brać po schodkach wagonów. Napełniają gwarem niewielki peron, ale nie zdążyli jeszcze chwycić pierwszego wrażenia, kiedy trzech wprawnych przewodników rozrywa ich grupami między siebie i prowadzi na śniadanie. Obserwowałem z ubocza cały ten proceder i stwierdziłem, że wszystko odbyło się niezwykle szybko i składnie. Widać organizacja miejscowa jest niezła i to wzbudziło we mnie duże zaufanie. Nie zawiodłem się. Cały program dnia był dzięki skrupulatnemu wyzyskaniu czasu wyczerpany bez reszty.

* * *

Miasteczko schludne, choć nie bogate. Leży sobie w pętli dniestrowej spokojne i całe pławi się dosłownie w podolskim słońcu, które tego roku jest wyjątkowo jasne. Po to słońce przejechali nasi taki szmat drogi i zobaczyli, że to co się o tym słońcu mówi — to prawda. Ale prócz słońca znaleźli coś jeszcze co ich bardzo radośnie usposobiło. Była to moc — wiśni. Strasznie dużo wiśni. Białe i czerwone, wielkie i małe, słodkie i kwaśne. Można było po prostu zwariować, toteż opychaliśmy się nimi walnie.

Jakże mi żal było tych, których tam nie było i którzy nie jedli. No — ale trudno — nie chcieli, albo za długo myśleli czy jechać. I wobec tego — wcale mi ich nie żal.

Zwiedziliśmy pola, kultury Szkoły Sadowniczej. Prowadzone tu wszystko wzorowo. Drzewka owocowe i krzewy wina sadzone równiutko, jak wojsko i wielkie ich mnóstwo. Czuje się jak im tu dobrze, bo też obchodzą się z nimi jak z dziećmi.

Jeszcze przed południem — plaża i kąpiel w Dniestrze. I tu stało się nieszczęście, bo ludzi trzeba było po prostu wypędzać z wody, aby poszli wreszcie na obiad.

* * *

Po południu pojechali nasi na parę godzin do Czerwonogrodu.

Kotlina — a w środku kotliny niewielkie wzniesienie. Na tym wzniesieniu pałac Ponińskich. Prowadzi na górę kotliny serpentyna. Z jednej strony stoku widać olbrzymie, czerwone złoża piaskowca, od których miejscowość Czerwonogrodem nazwano, a z drugiej piękny wodospad. Wokół kotliny wysoko na stokach okrężnych wioska rozrzucona malowniczo.

Wysoko — mauzoleum Ponińskich z białego marmuru. Przepiękna rzeźba Thorwaldsena, na froncie, przedstawia zrozpaczoną matkę, której zmarło już dwoje dzieci a ona nieboga broni to trzecie przed śmiercią. Piękne, poważne i wzruszające.

Jest to jedna z trzech rzeźb tego artysty, znajdujących się w Polsce.

Warto widzieć!!!

* * *

Rozmawiałem z uczestnikami wycieczki. Mimo braków, jakie zawsze w podróży się spotyka (bo przecie wagon to nie dom, a ława z materacem to nie łóżko) wszyscy ogromnie zadowoleni, opaleni, uśmiechnięci. Nie widziałem ani jednej kwaśnej twarzy. Czyli — wypoczęli.

* * *

Nie było mnie kiedy wyjeżdżali z Zaleszczyk w dalszą drogę do Krzywcza, aby tam zobaczyć jedyne w swoim rodzaju groty. Musiałem na gwałt wracać, aby nazajutrz rano znaleźć się w Katowicach.

I cicho powiem, że kląłem taki interes, bo wolałem zostać z „Podolakami".

PAMIĘTAJ O WYPOCZYNKU!



DWORCZYK JAN
maszynista kopalni Siemianowice

»PODZIAŁ PRACY«

ODPOWIEDZI NA LISTY



OBSERWATOR, Huta Florian

Pisze nam Pan o ofiarności Członków Załogi huty Florian a w szczególności Pracowników pewnych Oddziałów, jaką okazali przy składce na „Karlikowy Żeleźniok".

Czołem! przed takimi, co sobie ujmują, aby wesprzeć wielkie sprawy społeczne. Wiemy dobrze, że wiele trzeba starań, aby zebrać pokaźną kwotę 1.200 zł, jaką przekazano na powyższy cel.

Jako ci, którym tak bardzo na wspólnej pracy zależy, składamy p. insp. Ufnalewskiemu oraz wszystkim tym, którzy zwartą ławą za nim pośpieszyli, słowa głębokiego uznania.

Za dobrą wolę i szlachetny uczynek — cześć Wam Panowie!



P. KALYTA EDMUND, Huta Piłsudski

Uwagi pańskie uważamy za słuszne i w najbliższej przyszłości zamierzamy organizować kluby szachowe na naszych zakładach.

Za list pięknie dziękujemy.



P. SMOLKA RYSZARD, Huta „Batory"

Z ciekawością czytaliśmy pański list. Spodziewamy się, że po zwróceniu uwagi czynnikom odpowiednim, ulepszenie pańskiego pomysłu może znaleźć zastosowanie. Ze swej strony pomożemy Panu.

Dzięki za list i Szczęść Boże!



P. MGR. DZIKOWSKI, Gen. Dyr. Kopalń

Dzięki za tyle serdecznych słów pod adresem naszym i naszej pracy oraz za informacje.

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytaliśmy pański projekt w sprawie Związku Organizacyj Społecznych. Liczymy na pańskie pomysły w przyszłości i wykorzystamy je dla naszych możliwości.

Szczęść Boże!

P. ALFONS PŁACZEK, Rybnik

Obserwacje pańskie są słuszne. Zdajemy sobie sprawę z kompletnego braku zdecydowania u pewnych ludzi i ze śmiesznostek, jakimi argumentują niemożność wyjazdu. Wiemy też ile pieniędzy wydają ci właśnie ludzie na pobyty w lokalach publicznych.

Miły Panie! Trudno walczyć z głupotą, która jak Panu wiadomo jest w większości na bożym świecie. Wierzymy jednak w pozytywne skutki przykładów jednostek rozsądnych i uczciwych, rozumiejących jak ważną rzeczą jest wypoczynek i że bez niego można doprowadzić siebie do choroby, a rodzinę do ruiny.

Dziękujemy za list i przesyłamy słowa poważania.



P. MASOŃ FRANCISZEK, Warsztaty Przetwórcze

Jest nam miło, że znajdujemy w pańskich słowach tak wiele życzliwości dla naszych poczynań. Wyobraża Pan sobie jak bardzo się cieszymy, że „fatamorgana" stała się rzeczywistością, a Panu dziękujemy z serca za słowa uznania i wiarę w przyszłość naszego pisma.

Sprawę kącika szachowego poruszyło już kilku prenumeratorów i postanowiliśmy ku zadowoleniu czytelników-szachistów kącik taki zainstalować.

Dzięki piękne za miły list pański.



„BITWA POD GRUNWALDEM" (1410) JAN MATEJKO

B Ó J O P R A W D Ę

Było to w czasie, kiedy na Pomorzu gospodarował samowolnie i bezkarnie Zakon Krzyżowy, mieniący się krzewicielem i obrońcą chrześcijaństwa. Chrzest Litwy, którego dokonał król Władysław Jagiełło był krokiem politycznym niezmiernej wagi, gdyż odebrał Krzyżakom sens ich istnienia i podstępnych poczynań na północnym krańcu ziem słowiańskich. Stan taki jątrzył zaogniony od dawna stosunek polsko-krzyżacki, doprowadzając do ciągłych nieporozumień i starć.

Polska, nie mając na Zachodzie Europy wyrobionych kontaktów, nie była w stanie bronić swego stanowiska przed opinią zachodnich państw i to dawało Zakonowi ogromną przewagę w zaciekłej rozgrywce, tym więcej, że Zakon cieszył się sympatią papiestwa. Była więc Polska i związana z nią unią (1401) Litwa, zdana całkowicie na siły własne, kiedy po zerwaniu rokowań w 1409 zaczęto gotować się obustronnie do rozprawy zbrojnej, przy czym po stronie Zakonu stanął niechętny Jagielle, Zygmunt książę luksemburski oraz liczne posiłki z Niemiec i krajów zachodnioeuropejskich.

Zawarty w roku 1409 rozejm i zawieszenie broni kończyły się w czerwcu roku 1410.

* * *

15 lipca 1410 doszło do wielkiej bitwy na równinach między wsiami Grunwald i Tannenberg.

Walka trwała cały dzień, a pod jego koniec zmieniła się w straszliwą klęskę Zakonu Krzyżackiego. Poległ Wielki Mistrz Ulryk v. Jungingen, cała starszyzna i wszyscy prawie bracia zakonni. Wojska księcia luksemburskiego i inne obce pułki poszły w rozsypkę, a 52 chorągwie i tabor bogaty stały się zdobyczą zwycięzców.

Był to krwawy bój o prawdę, bój za krzywdy, za rozbój, za oszustwa i ucisk, jakich dopuścił się Zakon przez długie lata swego istnienia na Pomorzu. Była to kara bardzo ciężka — lecz nie ostateczna. Wprawdzie odniesiono nad Zakonem jeszcze jedno zwycięstwo pod Koronowem, ale dzięki układowi sił politycznych w Europie i pewnym, chytrze wykorzystanym przez przeciwnika opóźnieniom ze strony Polski oraz interwencji opiekunów Zakonu, zawarto pokój w Toruniu (1411), w którym Zakon odstąpił Jagielle i Witoldowi, księciu litewskiemu, w dożywocie Żmudź i obowiązał się zapłacić odszkodowanie w wysokości 100.000 kóp grzywien praskich.

Nie był to pokój odpowiadający w swych bezpośrednich skutkach wielkości odniesionego zwycięstwa. Ogólnie jednak wygrana bitwa ugruntowała przewagę Polski na wschodzie Europy, zmuszając nawet wrogów i wszystkich niechętnych do uznania mocarstwowego stanowiska naszego Państwa w Europie. Złamano na zawsze siły Zakonu i dodano otuchy poddanym krzyżackim, marzącym o wyzwoleniu. Jakoż natychmiast po bitwie szlachta, duchowieństwo i mieszczaństwo pruskie, choć przeważnie niemieckie, wypowiedziało posłuszeństwo Zakonowi.

Zakon ostał się — ale z pogromu nie dźwignął się już nigdy.

* * *

Autor „Bitwy pod Grunwaldem" mistrz Jan Matejko urodził się w r. 1838 w Krakowie — zmarł 1893 r. Należy do najznakomitszych malarzy historycznych świata. Dzieła jego są znane we wszystkich kulturalnych państwach i cenione wysoko ze względu na wartości malarskie i kompozycyjne. Krótki szkic monograficzny o Janie Matejce podamy w innym numerze.

AMALIA IRENA HANZLOWNA

W ZAOLZIAŃSKIEJ MGLE

Dwa dni na wycieczce wśród gór i słońca — co za radość! Mają ją w oczach nieliczni ci, którzy wybrali się pociągiem na wycieczkę pod hasłem: „z Katowic na Zaolzie".

Przed nami biegły drzewa ogromne, zielone, przetykane błękitem. Za oknami wagonów pomykały szybko jasne smugi wznoszącego się coraz wyżej słońca. Pociąg mija znane nam okolice. A potem — za Olzą — w perspektywie naszych spojrzeń wydłużały się pola tak bardzo nasze... a jednak nie nasze!... Granica.

I pomyśleć, że to polskie niebo, co podsłuchuje nieprzerwany szmer Odry, rzeki ciemnej i dziwnie smętnej, w którą ongiś król Bolesław Chrobry kazał wbijać słupy graniczne, dziś znowu po tylu wiekach ogląda tu nareszcie granicę, choć poza tą smętną wodą mieszka jeszcze ten sam lud, ten sam naród!

*

Witano braci z Górnego Śląska na Śląsku Zaolziańskim starym, serdecznym zwyczajem, gorącym sercem, miłującą duszą.

— „Dziś jest tylko jeden Śląsk, Śląsk Polski! Stoimy tu na zachodnich rubieżach silni i zwarci, przygotowani na wszystko, oczekujący rozkazu Wodza. Nie damy ziemi, skąd nasz ród..."

*

W dwie godziny później Karwina, a potem Trzyniec.

Wieczorem niebo pokryły czarne chmury, a błyskawice raz po raz wyskakiwały zygzakiem na niebo. Zasiedliśmy do kolacji w kasynie trzynieckiej huty. Późnym wieczorem wyjeżdżaliśmy z Trzyńca do Cieszyna, gdzie mieliśmy spędzić noc, — oczywiście w turystycznych wagonach kolejowych. Kto jeszcze nie spał w takim pociągu — niech żałuje. Tyle przyjemnych chwil, beztroskich, nie znajdzie w najwygodniejszym pensjonacie.

To był pierwszy dzień.

*

Świt... piąta rano... nielitosna pobudka! Całe niebo zasnute mgłą. Przyszedł dzień.

Na Praszywej w kościółku co ma już 500 lat jest dziś odpust.

Chór nasz z kopalni „Siemianowice", który brał gremialnie udział w wycieczce, odśpiewał szereg pieśni podczas Mszy św. w kościółku na szczycie Praszywej. Po Mszy św. chór ten pod dyrekcją prof. Solocha dał prawdziwy koncert pod gołym niebem na polance, pełnej uczestników odpustu. Widziało się tu liczne grupy uchodźców czeskich, szukających u nas opieki i schronienia.

Z piersi śpiewaków siemianowickich zabrzmiała potężna pieśń: „Za naszą wolność i waszą". Po pieśni cisza... a potem nagła burza oklasków wzruszonych uchodźców.

*

Wracaliśmy z radością i śpiewem po mokrych zboczach Praszywej. Powrót do Cieszyna na zasłużony obiad, który szybko spożywano w milczeniu, wśród brzęku widelców. Szybko — by zdążyć do czekających autobusów.

Już wszyscy załadowani. Wprawdzie zmoczeni, zabłoceni, ale weseli, bo... najedzeni.

*

Cierlicko. Niebo — jakby przejęte powagą chwili — rozchmurzyło swe oblicze na chwilę, byśmy w pogodzie złożyć mogli hołd Cieniom naszych lotników. Dwie złamane sosny, świadkowie Ich śmierci, wyciągają swe smutne pnie ku niebu.

Tu zginęli nasi Bohaterowie podniebni — Żwirko i Wigura.

*

Po północy witały nas lampy peronowe w Katowicach.

Szkoda... że już! Ktoś jeszcze głośno wołał:

— Róbcie niedługo znowu wycieczkę, to jadę!"

. . . .

Jesteśmy nieomal w domu. Jeszcze tylko wycieczkowiczów z Siemianowic i Chorzowa zabierają specjalnie zamówione wozy tramwajowe.

Tak! Gdyby móc pojechać znów w góry, w błękit nieba, pozwolić się objąć całej przyrodzie i stopić się z nią.



NASZ REPORTER

Górki, 18. VI. 39.

Są to właśnie te Górki obok Skoczowa, gdzie mieści się Ośrodek Związku Harcerstwa Polskiego i gdzie mali synkowie naszych pracowników spędzają bujnie i hucznie wakacje.

* * *

Przyjęła nas władza najwyższa Ośrodka — druh Kamiński, ale że miał właśnie mimo niedzieli mnóstwo do czynienia w związku z niedługim przyjazdem w odwiedziny jakiegoś rumuńskiego ministra, więc cały czas spędziliśmy w towarzystwie druhny Klimkiewiczówny, kierującej tym oddziałem kolonii dziecięcej, w której nasi chłopcy są ulokowani. Ponieważ chłopacy właśnie poszli do kościoła, korzystamy z wolnego czasu kierowniczki i dowiadujemy się — co i jak tu się dzieje.

Ogólnie są tu wszyscy z naszych chłopców zadowoleni. Mówią, że są karni i grzeczni. Ciężko było z początku tych elegantów namówić do chodzenia boso (bo szkoda butów) ale jakoś dali się przekonać. Oddziałem kieruje druhna Klima — jak ją tu nazywają — a współpracują z nią dwaj harcerze, młodzi ale wytrawni, którzy nad zuchami mają bezpośrednią komendę. Oglądamy sypialnie, stołownię, świetlicę. Wszędzie przestrono i jasno i idealna czystość, którą chłopcy utrzymują sami, wykonując przez sprzątanie jedno z „zajęć praktycznych". Bardzo to mądrze. Najchętniej pracują jako pomocnicy w kuchni, gdzie przy większej ilości jabłek na kompot lub marchwi jaki taki interesik zrobić można. Ledwie mieliśmy czas obejrzeć wszystko kiedy z daleka zobaczyliśmy długi sznur dwójek — wracających z kościoła pupilów.

Za chwilę w całym ogromnym domu zapanował ruch niezwykły. Stoimy z boku i obserwujemy. Ponieważ do obiadu mają czas wolny, więc hukają sobie i pełno ich po wszystkich kątach. Wreszcie jeden z harcerzy zbiera swoją drużynę i prowadzi ją na łączkę.

Idziemy za nimi.

Tu dopiero zobaczyliśmy ile wielkiego serca i umiejętności okazał druh Sława (tak się ten miły wołyniak nazywa) przy wymyślaniu setki zabaw. A trzeba dobrze i szybko patrzeć, aby za tym wszystkim nadążyć i zanotować. Więc widzimy np. walkę toreadora z bykiem — przy czym byk złożony jest z dwóch chłopców, jeden jest łbem i przodem a drugi grzbietem i zadem — kocem dla niepoznaki przykrytych. Byk naturalnie wścieka się i chce toreadora wziąć na rogi, ale wkrótce przebity drewnianą szpadą — zdycha, wierzgając uciesznie nogami — a potem dwie jego części stają i za chwilę udają osobno każda co innego. Tam znów część zgrai uczy się chodzić na szczudłach (żal mi tych szczudeł) — tam wre dziki taniec wojenny gdzie to prawa noga nie wie co czyni lewa a wszystko wrzaskiem bojowym zaprawione — tam znów jakiś cyrk się robi, chodzą na rękach, na głowie, wywracają się, wstają, szaleją. Mądry i dobry jest druh Sława skoro tyle zabaw umie na pamięć. Toteż chłopcy lubią go ogromnie — a choć nie krzyczy i nie łaje — słuchają go bardzo.

Obiad. W pięknej stołowni gromada malców. Umyli ręce przed obiadem a teraz łyżkami walczą z makaronem w rosole. Kierowniczka i dwaj harcerze jedzą z nimi, bacząc by wszystko było w porządku. I jest w porządku. Malcy siedzą poważnie i godnie na zydlach choć prawie każdy z nich nogami do podłogi nie sięgając dynda nimi w powietrzu.

Opodal przy oddzielnym stole siedzi grupa rodziców, którzy przybyli odwiedzić „swoją chlubę" rodu.

* * *

Jest w świetlicy na płycie drewnianej przybita dziwna karta tzw. „lista spraw". Jedno pod drugim — nazwiska chłopców a obok każdego nazwiska miejsce na notowanie ilości punktów karnych za zachowanie. Większość nazwisk czysta zupełnie, ale dwa widziałem mocno obciążone. Widocznie straszne urwisze są właścicielami tych nazwisk. A punkty karne nie przechodzą „na sucho", bo notowanego osobnika wyklucza się od wieczornego kominka, przy którym można się uśmiać i ubawić i naszaleć. Osobnik siedzi wtedy w świetlicy, słucha przez ścianę i żal go dławi. Ale dobrze mu tak.

* * *

W związku z tym co powiedziałem na początku, że spodziewają się tu wizyty rumuńskiego ministra utarła się między młodymi dzikusami pogłoska, że to nie będzie minister ale sam król rumuński. Niech sobie w to wierzą. Ja nie.

* * *

Wyjeżdżamy z Górek pełni głębokiego przeświadczenia, że chłopcom tu jest dobrze, że się nad nimi pracuje i że się spełnia wielkie dzieło społeczne. Jesteśmy z wielkim poważaniem dla tych, którzy się temu dziełu poświęcili.

HALINA BARLICKA

PAN KOŹLIK JEDZIE NAD MORZE

— Jada do Gdynie — oznajmił pan Koźlik, gdy tylko przyszedł z pracy do domu.

— Ty? do Gdynie? — zdziwiła się żona.

— No tak, jo. Czegóż sie tak dziwosz? Od piyrszego mom przeca urlop, to moga jechać. Firma urządzo dlo nos kolonio wypoczynkowo w Chłapowie nad morzem, tóż byda i w Gdyni.

— Nad morzem, w Gdyni, no no. Kto by to pomyśloł! Dzieci, pódźcie tu ino. Ociec jedzie za tydzień nad morze.

Czternastoletni Stasiek przyjął wiadomość bez zdziwienia.

— Tata? To dobrze, że nareszcie zobaczy morze. Ja już dwa lata temu widziałem! kiedyśmy byli na wycieczce szkolnej.

— A my pojed-ziemy w przyszłym roku. Pani mówiła, że musimy być nad morzem, bo każdy Polak i każda Polka musi poznać wybrzeże — odezwała się, młodsza od Stasia, Hanka.

Pani Koźlikowa posmutniała.

— Kożdy Polok? Kożdo Polka? A jo to nie Polka? A przeca nad morze nie pojada...

— Ty, to co innego — powiedział mąż.

— Mamusia to zupełnie co innego — stwierdzili zgodnie Stasiek i Hanka.

Malutka Zosia wdrapała się matce na kolana i pogłaskała ją po twarzy. Bo matka wydawała jej się jakaś... smutna.

— Toć toć, mocie prawie, jo to co innego. Ociec robi w hucie, ciężko pracuje, na utrzymanie nos wszystkich zarobio, musi mieć urlop. I firma myśli o nim, obóz dlo niego urządzo, tonio to jakoś wypodo. A dzieci do szkoły chodzą — i tam w szkołach o nich myślą, i w harcerstwie. Stanik juzaś z harcerzami pojedzie — aż na Wileńszczyzna, Hanka na kolonijo do Jastrzębia zapisano...

— A ja mamusiu, a ja? — dopytywała Zosia.

— Tyś jeszcze mało Zosiu, pojedziesz jak dorośniesz. I nad morze, i w góry, i do Warszawy. Wszystko oboczysz, wszędzie bydziesz.

— A ty byłaś mamusiu, byłaś? Opowiadaj!

— Jo? Nie, joch nie była. Do szkoły chodziłach downo, a nie była to wtedy szkoła polsko, nie opiekowała sie dziećmi tak, jak waszo. Wczas ech sie wydała — a potem to już jeny robota i robota.

— Robota? Jako tam robota! Toli wiem, że nie próżnujesz, ale dom to przeca nie huta. W hucie to jest robota, no! abo w kopalni... — powiedział pan Koźlik.



— Ani nie szkoła! — dodał syn. — W szkole trzeba uważać, i lekcje odrabiać. A jakie trudne rzeczy! Na przykład algebra. Przecież mama żadnego zadania z algebry nie rozwiąże, no nie?

— A czy mama umie geografię? Ja jestem najlepszą z geografii, pani powiedziała, że...

— Wiem, wiem, oboje się dobrze uczycie, i ty, i Stanik. No, ale nie mom teroz czasu na godanie, zaroz wom dom wieczerzo, boście isto głodni.

Pewnie, że byli głodni. Zjedli ze smakiem wszystko, co matka postawiła na stole. A potem dzieci wybiegły jeszcze na dwór, do ogródka, ojciec usiadł pod oknem z gazetą w ręku, a matka położyła na stole duży stos bielizny, mężowskich skarpetek, dziecięcych pończoszek — i zabrała się do cerowania.

Naprawiając bieliznę układała w myślach plan roboty na jutro. Wstać trzeba wcześnie, bardzo wcześnie. Rozpalić ogień, ugotować kawę, wyprawić męża do roboty. Potem wstaną dzieci: trzeba dopilnować, aby się porządnie umyły, aby nie zapomniały zabrać śniadania. Gdy Staś i Hanka wyjdą — obudzi się Zosia. Zosi trzeba pomóc przy ubieraniu, trzeba ją umyć i uczesać, a po śniadaniu — odprowadzić do przedszkola.

Potem zajęcia zwykłe: sprzątanie mieszkania, słanie łóżek, przystawienie obiadu. Jutro trzeba się będzie z tym pośpieszyć, bo tyle jeszcze roboty w ogródku!

W południe mieszkanie zacznie się zapełniać: pierwsza wróci z przedszkola Zosia; zechce „pomagać“ mamusi, a wiadomo, jaka to pomoc! Potem wpadnie syn: śpieszy się zawsze, jakby go kto gonił. „Mamo, prędko obiad, bo zaraz mam zbiórkę, a gdzie mój pasek, a zawiąż mi krawat“ — i już go nie ma. Mąż za parę dni jedzie na ten obóz — ile to jeszcze przedtem roboty! Pranie, prasowanie, walizkę mu trzeba przygotować...

Ładnie musi być nad morzem — myśli pani Koźlikowa. Stasiek opowiadał, że piasek taki jak złoto, a fale tak szumią... Dobrze, że mąż to zobaczy. A znów koledzy męża jadą do Podhorodec, daleko gdzieś w góry.

Pani Koźlikowej dziwne jakieś myśli przychodzą dziś do głowy. Myśli o tym, że może i kobietom należałby się urlop, że może i one powinny pojechać na obóz, a tam — nie gotować, nie szyć, nie prać, nie pilnować dzieci, tylko — patrzyć na niebo, na drzewa, na wodę, chodzić po łąkach i polach, liczyć gwiazdy na niebie i kamyki nad brzegiem rzeki...

Pani Koźlikowa zamyśla się głęboko.



Pod tym hasłem zorganizował Referat Społeczny Wspólnoty wycieczkę po krainach leśnych bajek. I bez przesady. — Kto nie widział Białowieży z jej bujnym drzewostanem, kto nie oglądał Polesia z jego mnóstwem kęp zalesionych otoczonych wodą, kto nie zobaczył zakopanych w olbrzymich lasach sławnych na całą Europę łomów bazaltu w Janowej Dolinie, kto nie oddychał powietrzem Nowogródczyzny — kraju dzieciństwa Adama Mickiewicza — ten mało w życiu widział. A potem cała Bracławszczyzna, znana turystom ziemia jezior olbrzymich — potem Wilno, to przepiękne miasto naszego Wielkiego Marszałka i jak się wyraził jeden z artystów Zachodu: „zapomniane miasto sztuki na Wschodzie Europy“ — a wreszcie malownicze Druskieniki i Grodno z jego żyzną i „chleborodną“ ziemią.

Jest co widzieć! Jest się czym zachwycić! Jest gdzie wypocząć! Jest po czym mieć wspomnienia!

Kończy wycieczkę pobyt w Warszawie. Zamek królewski nad Wisłą, Muzeum Narodowe, stare miasto i ten cały niewyczerpany zapas celów miłej włóczęgi po parkach i pałacach w Łazienkach i Wilanowie.

Zresztą co tu tyle mówić — całość pomyślana jest doskonale i daje uczestnikowi bezmiar radości i zadowolenia.

Czy mamy namawiać do wzięcia udziału w tym beztroskim szaleństwie? Chyba zbyteczne.

Zazdrościmy tylko tym, którzy pojadą.

* * *

K R O N I K A

HUTA ZGODA. Chór im. Paderewskiego przy Hucie Zgoda obchodził w tym roku jubileusz swego 30-lecia bardzo okazale i uroczyście. Chór ten obecnie zajmuje miejsce wśród najlepszych chórów Wspólnoty Interesów. Nic też dziwnego, że koncert jubileuszowy stał na bardzo wysokim poziomie pod względem artystycznym, czego najlepszym dowodem jest bardzo korzystna recenzja, zamieszczona w jednym z numerów Polski Zachodniej. Z przyjemnością stwierdzamy, że chór ten uzyskał swój wysoki poziom dzięki niestrudzonej pracy własnej i jego dyrygenta p. Falkusa. Na tym miejscu redakcja W. D. życzy Chórowi-Jubilatowi jak największej pomyślności w Jego dalszej pracy na wdzięcznej niwie kulturalno-artystycznej. Obok zamieszczamy fotografię Chóru z całym Zarządem i z P. Dyr. Dobrzańskim w pośrodku.

HUTA „ZYGMUNT“ W ŁAGIEWNIKACH. Z wielką przyjemnością podajemy do wiadomości, że dzięki niezłomnym staraniom, usilnym zabiegom i gorącej inicjatywie WPanów Inż. St. Zachwieji i Mgr. St. Moskwy założono nowy chór męski Wspólnoty Interesów, 15-ty obecnie z rzędu: Chór męski przy Hucie „Zygmunt“. W dniu 9 czerwca odbyło się zebranie konstytucyjne, na którym wybrany został Zarząd z P. Inż. Zachwieją jako Prezesem. Na dyrygenta poproszono znanego ze swych chóralnych zdolności kierowniczych: p. Noconia. Oczekiwać należy tylko, jak chór ten przedstawi się w swym pierwszym występie na turnieju grudniowym. Referat Społeczny W. I., jako opiekun wszystkich naszych chórów i orkiestr, dołoży wszelkich starań, by tej nowo założonej jednostce podać pomocną rękę w jej pierwszych poczynaniach.

HUTA „SILESIA“ W PARUSZOWCU. W dniu 11 czerwca b. r. odbył się koncert chóru „Dzwon“. Chór ten złożony z pracowników Huty „Silesia“ pracuje nad swym poziomem bardzo gorliwie, chociaż w ciężkich warunkach, bo nie ma odpowiedniego pomieszczenia na próby i występy, ani — jak się to często niestety zdarza w naszych chórach — pełnego zrozumienia dla pracy kulturalnej u samych czynnych członków. Mamy nadzieję, że chór będzie pokonywał szczęśliwie nadal, jak i dotąd te wszystkie przeszkody i wystąpi w naszym turnieju grudniowym z takim zapałem, że sięgnie po najwyższą kategorię. Recenzję z koncertu z braku miejsca zamieścimy w następnym numerze W. D.

Z KOPALŃ RUDY KOŁO CZĘSTOCHOWY. W dniu 13. VI. b. r. wyjechał delegat Referatu Społecznego W. I. wraz z naszym operatorem filmowym do Kopalń Rudy: „Paweł“, „Brzózka“ i „Maria“. Przy dużym zainteresowaniu miejscowych pracowników, którzy okazali się może najwdzięczniejszą publicznością podobnych imprez Referatu Społecznego, wyświetlone zostały filmy p. t. „Żelazo i Stal“, „Poznaj Polskie Wody“ i zdjęcia z naszych ośrodków letniskowych. Delegat Referatu Społecznego wygłosił krótkie przemówienie, oraz objaśniał wyświetlane filmy. Obecni wyrażali głośno wielkie zadowolenie z możności oglądania interesujących filmów, wypowiadając zarazem szczere życzenie, aby Referat Społeczny utrzymywał nadal z miejscowymi kopalniami jak najżywszy kontakt.

DNIA 18 CZERWCA odbył się w Chropaczowie zjazd śpiewaczy Stowarzyszeń Śpiewaków Śląskich Okręgu Świętochłowickiego. Do zawodów stanęło 5 chórów męskich i 5 mieszanych, w tym 4 chóry Wspólnoty Interesów, a to: chór mieszany im. Paderewskiego przy Hucie „Zgoda“, chór mieszany im. Moniuszki przy Hucie „Florian“, chór męski im. Paderewskiego przy Kopalni „Łagiewniki“, chór męski Huty „Florian“ oraz poza konkursem stawał chór „Słowiczek“ przy Hucie „Batory“. W konkursie chórów mieszanych pierwszą i drugą nagrodą podzieliły się nasze czołowe chóry: im. Paderewskiego przy Hucie „Zgoda“ i im. Moniuszki przy Hucie „Florian“. W konkursie chórów męskich druga i trzecia nagroda przypadły naszym śpiewakom, a to: nagrodę drugą uzyskał chór Huty „Florian“, trzecią chór im. Paderewskiego przy Kopalni „Łagiewniki“.

DNIA 2 LIPCA B. R. odbędą się uroczystości jubileuszowe z tytułu 30-lecia istnienia dwóch naszych chórów. W Chorzowie-Batorym (W. Hajdukach) chór „Słowiczek“ przy Hucie „Batory“ urządza w lokalu p. Trójcy, przy ul. Ka-

liny o godz. 15.30 koncert ogrodowy wokalno-instrumentalny i zabawę taneczną,—zaś w Świętochłowicach w sali Domu parafialnego przy kościele św. Piotra i Pawła odbędzie się koncert jubileuszowy chóru im. Moniuszki przy Hucie „Florian“. Sprawozdanie z obu uroczystości podamy w następnym numerze W. D.

W MARCU B. R. zdeklarowali pracownicy P. IV. wraz z kierownikiem (21 osób), sumę 2.093 zł na zakup ręcznego karabinu maszynowego dla katowickiego pułku piechoty. Obecnie wszystkie formalności zakończono i określono termin uroczystego wręczenia broni pułkowi, co stanie się w dniu 23 lipca b. r.

Wiemy jak wielką jest radość żołnierzy, którzy ogromnie cenią sobie broń darowaną ponieważ — przynosi ona szczęście.

Jeśli to prawda — to niech tej darowanej broni będzie jak najwięcej!!

Zamieszczając tę miłą notatkę kreślimy dla wszystkich Pracowników P. IV. słowa głębokiego poważania i uznania za ten piękny obywatelski czyn.

Szczęść Im Boże!!

MECZ FOOTBALOWY między pracownikami biurowymi P i F rozegrano na boisku P. P. P. w Katowicach w dniu 29. IV. b. r. Obie strony walczyły o bramki z zaciętością, godną prawdziwych mistrzów, przy czym nie brakło scen, w czasie których publiczność kładła się ze śmiechu. Ostatecznie spotkanie skończyło się wynikiem 3 : 0 na korzyść F. — Jak wiadomo F oznacza Finanse, które uważały, że po to są finansami, aby być górą. No — ale niech się nie nadymają przedwcześnie, gdyż czeka ich ciężki rewanż.

DRUGI MECZ PIŁKI NOŻNEJ rozegrano na tym samym boisku w dniu 13 maja między pracownikami biurowymi Wspólnoty Interesów i Zakładów Hohenlohego. Wynik 1 : 0 na korzyść Wspólnoty.

Obie te notatki są spóźnione, ale tym niemniej aktualne, skoro powiemy, że w obu wypadkach ofiarowano dochód z biletów wstępu na zakup sprzętu dla armii. A zebrało się tego z obu meczów 243.90 zł.

Ofiarę złożono z okazji 20-lecia istnienia Polskiego Związku Pracowników (przemysłowych, biurowych i handlowych).

Koło P. Z. P. przy Wspólnocie Interesów złożyło dotychczas na cele dozbrojenia 942.60 zł.

Jeśli chodzi o mecze to i inicjatorom i ofiarnym graczom należą się słowa podzięki.

Czekamy na dalsze rozgrywki i rewanże.



50 lat

50-LECIE URODZIN obchodził w dniu 9 czerwca b. r. p. Paweł Respondek, pracownik Biura Pocztowego Generalnej Dyrekcji Hut.

W związku z tym wielkim dla Niego dniem, redakcja „Wspólnoty Dążeń“ życzy p. Respondkowi wszelkiej pomyślności na 50 lat następnych.

Jest nam miło stwierdzić, że p. Respondek jest naszym pierwszym abonentem i sądzimy, że przysporzy nam z grona Swych przyjaciół i znajomych w koncernie — wielu nowych prenumeratorów.

W SPRAWIE KONKURSU NA „HASŁO WSPÓLNOTY“

Zawiadamiamy, że w dniu 23 b. m. odbył się Sąd Konkursowy w związku z nadesłanymi pracami poetyckimi, których tematem było „Hasło Wspólnoty“.

Konkursu nie rozstrzygnięto ostatecznie. Z 35 prac wybrano sześć, a ich autorowie staną raz jeszcze do Konkursu zamkniętego. Wynika to z konieczności poprawienia i unormowania wersyfikacji oraz rytmu, tak aby wiersze nadawały się do opracowania muzycznego. Prace wolno będzie poprawić lub stworzyć nowe.

Autorów wybranych prac, zaprosimy na konferencję z naszym referentem muzycznym i potem dopiero nadeślą autorowie poprawione lub nowe prace pod innymi godłami we wskazanym terminie.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA »WSPÓLNOTY DĄŻEŃ« — KATOWICE, UL. KOŚCIUSZKI 30
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY MGR. EUGENIUSZ SIKORSKI | KIEROWNICTWO LITERACKIE I GRAFICZNE ARCH. WŁADYSŁAW DOMISZEWSKI | DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE